№ 41. Warszawa, dnia (26 Września) 8 Października 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3, Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Nudząca się przy skąpym, pedantycznym mężu, rada była każdemu, kto wnosił do domu trochę życia i wesołości. Popiołek opowiadał jej różne studenckie „kawałki," nie zawsze zabawne, które ją jednak do głośnego śmiechu pobudzały.

Chwilami aż pokładała się na kanapie, zapominając zupełnie o powadze, jaka przystoi poborczyni gubernialnej.

Poważną była za to jej córka.

Siedziała ona pod oknem z twarzą wyrażającą znudzenie, oraz jakąś chorobliwą niecierpliwość.

I w całej postaci kasyerówny było coś chorobliwego. Odziedziczyła po ojcu bladoszarą cerę i wzrost wysoki. Ten wzrost ujawniający pełnoletność, znajdował się w dziwnej sprzeczności z twarzą prawie dziecinną, i jakby powstrzymanemi w rozwoju kształtami.

Dwie jeszcze rzeczy w niej uderzały. Najpierw z osobliwą u młodych dziewcząt abnegacyą, nie trefiła włosów nad czołem. Wydawało się ono wskutek tego nadmiernie wysokiem, i czyniło ją podobną do kleryka. Następnie miała bardzo piękne czarne oczy, czarniejsze i piękniejsze niż u matki, ale zupełnie pozbawione zalotności.

Dalewiczówna liczyła lat siedemnaście, i w tym właśnie roku skończyła gimnazyum. A skończyła je nie byle jak, bo ze złotym medalem.

— To jeszcze nic!—krzyczał Popiołek, zapalając jedenastego papierosa. Opowiem teraz stryjence, jak urządził jednego frajera Maksimow z medycyńskiego fakultetu...

Przerwało mu wejście Dalewicza, który upomniał się natarczywie o obiad. Przeszli więc wszyscy do pokoju stołowego.

Zaraz przy zupie, kasyer rzekł do żony z powagą:

— Ponczu nie przyrządzaj. Głowa mnie boli, pić nie będę...

Była to kombinacya wymyślona dla ocalenia równowagi budżetu.

Mimo to Dalewicz był chmurny i milczący aż do ukazania się kaczki. Papierowe oblicze jego rozjaśniło się dopiero, gdy zobaczył, że go zwykła porcya nie ominęła. Pani domu tak zręcznie dokonała podziału, że połowa kaczki przeszła na talerz męża, gość dostał również porcyę sutą, ona zaś z córką poprzestały na kostkach, dowcipnie osłoniętych spiętrzonym stosem czerwonej kapusty.

Krem czekoladowy spędził ostatnią chmurkę z czoła kasyera. Z miną pełną błogości rozpiął kilka guzików u kamizelki, i wdał się w rozmowę z Popiołkiem.

Mało go obchodziły wiadomości o naukach i życiu w uniwersytecie; ciekawy był za to majątkowego stanu siostry, właścicielki domu z ogrodem i placem w Mińsku gubernialnym.

Ale student nie wiele o tem wiedział. Słyszał wprawdzie, że jakieś „franty" chciały matkę „nadmuchać," grożąc zajęciem placu na użytek publiczny, matka jednak umie sobie radzić z takimi „oficerami"

— A jakże z hipoteką? — zapytał kasyer, usta serwetą obcierając.

— Można powiedzieć: przedoskonale. Siedziała na niej ta baba przeklęta Grochokapustina, ale nogi zadarła, a synalek, pijaczyna, wybrał wszystko kapaniną i do szynku wyniósł. Skwitowali my się z nim na czysto.

— Rejentalnie?

— A jakże. Na herbowym papierze, ze sztempelami, ze wszystkiem.

Wanda nie mieszała się do rozmowy. Oczami wodziła obojętnie po obecnych, jakby ich nie widząc; myśli jej zdawały się błądzić gdzieś daleko. Zresztą wyglądała na gąskę—i za taką też student ją uważał.

Raz tylko, gdy Popiołek wymienił mimochodem nazwisko jednego z profesorów, zapytała:

— Czy to ten, co wydał po francuzku „Uwagi nad mechaniką nieba" Laplace'a.

— Tak—odrzekł Popiołek, i dziwnie jakoś spojrzał na pannę.

Po obiedzie wrócili wszyscy do bawialni. Dalewicz wyszedł do swego pokoju, zkąd wrócił po chwili w letnim nankinowym szlafroku, z fajką na długim cybuchu.

Od codziennych przyzwyczajeń odstępował jedynie w wyjątkowo ważnych okolicznościach, do których przyjazdu Popiołka nie zaliczał.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu i otoczywszy dymem taniego tytoniu (żona z pośpiechem otworzyła okna i chustkę do nosa przytknęła)—dał córce znak porozumienia.

Panna zasiadła do fortepianu. Muzyka poobiednia należała do codziennego programu domowego życia. Zadaniem jej było: sprowadzać sen i ułatwiać trawienie gospodarzowi.

Wyraz niewymownego znudzenia na twarzy Wandy wskazywał, jak wstrętną jest jej ta czynność. Ze sztywnością automatu otwarła fortepian, wzięła nuty i położyła na klawiszach długie, chude palce z obciętemi krótko paznogciami.

I gra jej była automatyczna. Grała jakieś nudne, monotonne *etiudy*, dziwnie odpowiadające swą jałowością całemu nastrojowi tego urzędniczego domu.

Kasyer zaczynał drzemać, matka wymknęła się do kuchni, Popiołek nie mogący usiedzieć ani chwili spokojnie, to podchodził do okien, za któremi na pół zwiędłych kasztа-

nach czubiły się z wrzaskiem wróble, to znów biegał po pokoju, przyglądając się rozwieszonym na ścianach kolorowym litografiom, starym i spłowiałym.

Wreszcie nie mogąc uciec przed grą kasyerówny, rad nie rad począł się w nią wsłuchiwać.

Tymczasem z twarzy Wandy ustąpił wyraz znudzenia. Ściągnięte brwi i pobladłe policzki, świadczyły teraz o pracy i natężeniu myśli. Uległa też zmianie i jej gra. Widocznem było, że już gra teraz nie dla ojca, lecz—dla siebie.

Nie było w tej grze nic porywającego, ani takiego, coby mogło wzruszyć lub rozmarzyć. Wanda nie używała wcale pedału; mało też troszczyła się o subtelne odcienia gry, i o jej jeżeli tak wyrazić się można — kolor. Za to „rysunek” nic nie pozostawiał do życzenia.

Kasyerówna wykonywała sztuki przeważnie ze starego, klasycznego repertuaru. Biegłość posiadała zadziwiającą. Dość duża i doskonale wyrobiona ręka pozwalała jej obejmować więcej, niż normalną liczbę klawiszy. Najtrudniejsze passaże wychodziły z pod jej palców z mechaniczną prawie płynnością. Zdawało się, że nie istnieją dla niej żadne zgoła trudności. Przebiegła całą klawiaturę, wynajdując jakby rozmyślnie, najzawilsze kombinacye tonów.

Zarówno znawcę jak nieznawcę musiała ta gra wprawiać w podziw — przyczem jednak pozostawali oni spokojni, gdyż spokojną była i sama grająca.

Popiołek słuchał muzyki najpierw z roztargnieniem, potem z ciekawością, kręcąc się na krześle i wysuwając naprzemian to prawą, to lewą nogę.

Gra kasyerówny czyniła na nim szczególne wrażenie. Raz wyobrażał sobie, że ma przed sobą bardzo zawikłane zagadnienie, które biegły matematyk na rozmaite sposoby rozwiązuje. To znów zdawało mu się, że patrzy na zadziwiające ćwiczenia gimnastyka, który przerzuca się w powietrzu z trapeza na trapez, wykonywa karkołomne skoki z kilkopiętrowej wysokości, i z wężową gibkością przewija się wśród lin, drabin i drążków.

Co najdziwniejsza, gimnastyk ten nie wydawał mu się człowiekiem żywym, lecz jakimś niesłychanie kunsztownym automatem.

Wanda skończyła grać. W tejże chwili śpiącemu kasyerowi wypadła z ręki fajka. Otworzył zaspane oczy i nawpół przytomnie zapytał:

— Co to?..

Powtarzało się to codziennie i było zwykłem zakończeniem muzycznych popisów córki.

Wanda wstała spokojnie od fortepianu, i starannie złożyła nuty.

Podbiegł do niej z hałasem Popiołek.

— Ho, ho!—wykrzykiwał—nie wiedziałem, że z Wandzi taka muzyczka! Ślicznie, jak Boga kocham, ślicznie! Jeszczem nie słyszał nigdy takich łamańców. Zupełnie jakby kto koziołki fikał.

— A!..—bąknęła obojętnie panna. i zwracając się ku wchodzącej do pokoju matce, rzekła:

— Proszę mamy, idę do panny Sabiny.

— Idź, moja Wandziu—odrzekła dobrodusznie kasyerowa.—Tylko, proszę cię, nie znoś już od niej książek. Dom nasz wyglądałby niedługo jak żydowska księgarnia.

Na twarzy Wandy pojawił się poprzedni wyraz znudzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA.

Cieszyn, 20 Września.

Na znacznej wyniosłości, nad płynącą z gór Olzą, czy Olszą, zasiadł był niegdyś obronny zamek Piastów. Dziś z warownych jego bastyonów, z wież sterczących hardo, pozostało tak niewiele. Tam, gdzie prawdopodobnie rozciągały się podwórce zamkowe, urządzono ogród miejski; zrównane z ziemią bastyony zamieniono na altany, ale gdy ciekawy wędrowiec oparłszy się o ich barycry spojrzy w dół ku Olzie, odgadnie z łatwością dawne przeznaczenie tych ścian kamiennych, i zaduma się o czasach dawnych, minionych, o epoce rycerskiej, strojnej w błyszczące zbroje, pióropusze i hełmy, o epoce, która rozwiała się niby sen. I tylko pozostały po niej tu i owdzie ruin starych pamiątki. Po zamku Cieszyńskim pozostała t. zw. „Wieża Piastowa,” stanowiąca dziś główną ozdobę parku miejskiego. Na szczyt wieży wchodzi się wązkiemi, w niektórych miejscach niedawno, zdaje się, dobudowanemi schodkami. Schodków tych ilość niezmierna! Panujący w tem miejscu mrok, przeświadczenie o starości tych ścian, o które mimowoli opiera się ręka ciekawego turysty, budzą w duszy szczególny nastrój, coś jakby zabobonną obawę przed duchem tych stuleci krwawych, niespokojnych. W takich to ciemnych przejściach dokonywały się zdrady, tutaj to czatowały dłonie uzbrojone nożem lub toporem, tu ambicya, zazdrość, zemsta, wszystkie namiętności świata przyoblekały się w ciało, stawały czynem gwałtownym. Atmosfera ta duśi, pilno nam wydobyć się na światło. Z radością witamy koniec drabiny kamiennej i wciągamy w płuca świeży, czysty, od Beskidu płynący powiew. Prześliczny widok roztwiera się przed nami z tej starej strażnicy śląskiej. Błonia niezmierne, dalekie, wieńcem wzgórz omglonych otoczone dokoła. Kraina cała mgłami niby gazą białą spowita, podobniejsza do wizyi sennej, niż do obrazu rzeczywistości. Szeroko tutaj, powietrzno, oddech tu łatwy, i wraz z tym świeżym powiewem wciąga się w piersi siłę i ochotę do życia. Ale znów zstąpić trzeba w ciemne korytarze i zajrzeć w oczy posępnemu duchowi przeszłości. Z pośpiechem schodzimy na dół i raz jeszcze spoglądamy na wieżę. Stoi ogromna, niewzruszona, samotna. Przeżyła Piastów, wszystko przeżyła. O kilkanaście kroków od tego pomnika ubiegłych stuleci, stoi pomnik dziewiętnastego wieku: komin fabryczny, wyciągający w powietrze długą swoją szyję. Jest to jakiś browar. Sąsiedztwo to ma w sobie coś dziwnie komicznego i bolesnego zarazem, bo wieżyca Piastowa to twór umarły, to szkielet trupi, a browar niemiecki istność żyjąca.

Drugą pamiątką przeszłości i to legendowej już tylko, jest w Cieszynie t. zw. „Bracka studnia.” Z pozoru zwyczajna to studnia położona na jednej z uboższych i lichszych uliczek miasta, ale podanie mówi, że niegdyś na tem miejscu zeszli się byli po długich latach rozłąki trzej synowie Lecha, i ucieszeni tem spotkaniem postanowili wznieść tutaj, na pamiątkę radosnej chwili, miasto *Cieszyn*.

Napis w trzech językach: polskim, łacińskim i niemieckim, położony na wysokiej ścianie osłaniającej studnię i zawierający w sobie ową legendę, brzmi jak następuje:

Roku 810 wiaropodobne
założenie miasta Cieszyna
przez trzech synów
Leszka III króla polskiego.
Trzej bracia książęta,
Bolko, Leszko i Cieszko
zeszli się po długiej
wędrówce przy tem źródle,
i ciesząc się, zbudowali na
pamiątkę miasto, które
miano Cieszyn otrzymało.

Oto jedyne, zdaje się, historyczne wspomnienie tego miasteczka, ładnego, czystego, i które z każdym rokiem coraz więcej cech polskości przybiera na nowo.

Jak zapewniają ci, którzy zwiedzali je przed paru laty, na dworcu, w hotelu, w restauracyi, można było wtedy rozmówić się tylko po niemiecku. Dziś mowa polska witana jest wszędzie uśmiechem serdecznym, radosnym, a odpowiedź choć w jakimś trochę łamanym i mniej czystym od gwary ludowej języku, zrozumiała bywa i uprzejma. Napisy wprawdzie na rogach ulic niemieckie, ale i to zapewne ulegnie wkrótce zmianie.

Ogólny wygląd miasta poucza nas od razu, że to stolica chłopskiego kraju. Po ulicach prowadzą się po dwie, po trzy w bogatych barwnych ubiorach swoich wieśniaczki z okolic miasta, gaździny z gór. Innej publiczności nie widać tu prawie. Wystawy sklepowe mieszczą też w sobie przeważnie to, co co potrzebom ludności wiejskiej odpowiada najbardziej: strojne *żywotki* (gorsety), różnokolorowe *szatki* (chusteczki na głowę), wstążki, materye używane przez strojnisie ludowe, ozdoby weselne dla drużbów i drużek, a dalej narzędzia rolnicze, przybory gospodarskie i t. p. Moda europejska jest tu słabo reprezentowana; trochę wiedeńskich gotowych ubrań, trochę parasolek i kapeluszy bardzo lichego gatunku — oto i wszystko. Po sklepach sprzedający mówią najchętniej po niemiecku, a gdy gość stanowczo prowadzi rozmowę polską, odpowiadają komiczną mieszaniną dwóch języków, mieszaniną, która polega na dawaniu polskich końcówek przypadkowych rzeczownikom niemieckim, na czasowaniu po polsku niemieckich słów i t. d., i t. d. W jednym tylko sklepie żelaznym, sprowadzającym zapewne towar swój z hut arcyksiążęcych, i zaopatrzonym wspanialej pod względem gatunku i ilości, niżeli sklepy warszawskie tego rodzaju, spotkaliśmy się z czystą mową polską.

Najbardziej jednak interesującą osobliwością Cieszyna, jest gimnazyum polskie. Ni-

komu z czytelników naszych nie jest tajnem zapewnie, ile wysiłków włożono w założenie tej szkoły, ile stoczono walk o utrzymanie dla niej charakteru publicznego zakładu naukowego. Ze wszystkich stron świata, z za Atlantyku i z pod bieguna płynęły do Cieszyna hojne ofiary i ubogie grosze, i gimnazyum powstało, i dziś mimo oporu przeciwników, posiada już tak upragnione przez założycieli prawo publiczności.

Nie wszyscy jednak, a zwłaszcza ci, którym stosunki tutejsze nie są dokładnie znane, zdają sobie sprawę z tego, czem dla Ślązka jest to gimnazyum, o którem tyle mówi się i pisze. Ślązk to kraj chłopski, nie posiadający intelligencyi swojskiej, związanej z ludem krwią, mową, tradycyą. Człowiek o wykształceniu gimnazyalnem, a tembardziej uniwersyteckiem, to tutaj zazwyczaj Niemiec, Czech, lub Polak zniemczony. Gimnazyum niemieckie, a potem uniwersytet wiedeński ścierają z młodzieńców ślązkich wszystkie cechy ich narodowości. To też dotychczas polskiemi pozostawały tu tylko żywioły ciemne. Oświata niosła ze sobą wynarodowienie stanowcze, nieodwołalne.

Wśród takich okoliczności narody nie rozwijają się, pozostają w stanie półsnu, w stanie zastoju, i z biegiem lat, z rozwojem cywilizacyi zatracają coraz bardziej swą odrębność narodową. Ludności ślązkiej niebezpieczeństwo to groziło prędzej czy później. Dziś dzięki towarzystwu *Macierzy szkolnej*, które założyło gimnazyum i dostarcza funduszów na utrzymanie go, groźba została zażegnana, prąd germanizacyjny odwrócony wstecz, i przez wieki zamulone niemczyzną pola ślązkiej krainy, rozkwitną niezadługo właściwem im życiem. Nie ulega kwestyi, że kilkunastoletnie bodaj istnienie gimnazyum musi stać się powodem głębokich i doniosłego znaczenia zmian w społeczeństwie tutejszem. Dziś stan gimnazyum według ostatniego sprawozdania dyrekcyi przedstawia się jak następuje:

Przy końcu ubiegłego roku szkolnego znajdowało się w klasie 1 a 37 uczniów, w 1 b 39, w drugiej 63, w trzeciej 45, ogółem 184. W tej liczbie 175 pochodzenia polskiego. Największą ilość uczniów, bo 69 dostarczył stan wieśniaczy. Synów rzemieślników liczono 31—robotników 30. Pozostałą garstkę składają synowie urzędników, kupców, nauczycieli, pastorów, adwokatów, lekarzy i t. d.

Gimnazyum posiada bibliotekę dla nauczycieli złożoną z 2120 dzieł, i drugą dla uczniów liczącą dzieł 593, gabinet historyi naturalnej, wreszcie zbiór środków pomocniczych do nauki, jak mapy, atlasy, globusy i t. p. Wszystko to powstało w większej części z ofiar prywatnych, z serdecznych darów słanych zapomnianemu od wieków ludowi polskiemu na Ślązku.

Przy gimnazyum zaczyna tworzyć się dzięki niestrudzonej energii ks. Londzina, jednego z bohaterów narodowego odrodzenia kraju tutejszego, muzeum etnograficzne ślązkie. Stare, zapomniane druki, kostyumy, narzędzia rolnicze i pasterskie, naczynia domowe, stare obrazy, zbiór monet, wszystko, co o przeszłości Ślązka nam mówi, gromadzi ten niestrudzony pracownik, by pokoleniom przyszłym praca łatwiejszą była.

Z nowym rokiem szkolnym otwiera gimnazyum klasę czwartą, nowy zastęp młodzieży napływa, i coraz jej ciaśniej w widnym, suchym, ale szczupłym lokalu wynajętego domu. Bo to gimnazyum, przedmiot szczerej troskliwości całego społeczeństwa polskiego, nie posiada dotąd własnego gmachu, a już tylko rok, najwyżej dwa lata na tem wynajętem mieszkaniu poprzestawać może. To też w przyszłym roku rozpocznie się budowa domu, który dążącą do światła młodzież ślązką przyjmie w swoje progi.

W.

Uniwersytet wieczorny w Londynie.

Pierwszą i największą trudność, na jaką natrafiają wszyscy szerzyciele światła wśród warstw robotniczych, stanowi wynalezienie na naukę odpowiednich godzin w ciągu doby. Poza bezrobociem przymusowem, na które skazani bywają pracownicy warsztatów i magazynów w sezonie martwym, a które jest zarazem źródłem ich nędzy i niedoli, pozostają oni wolnymi od pracy tylko w niedziele i święta uroczyste, a w te dni znowu, jak wiadomo, podwoje wszelkich zakładów naukowych, w Anglii naprzykład, są najskrupulatniej zamknięte. Praktyka tedy życia daje pod tym względem jedno tylko dylema: albo jednostka skazana na pracę codzienną od godziny do godziny zejść musi do grobu tak ciemną, jak wyszła ze szkoły początkowej, albo jeśli ma aspiracye wyższe, a społeczność do której się liczy gotowa jest pospieszyć jej z pomocą, musi nieuchronnie poświęcić pewną część snu i spoczynku na rzecz swojego intellektualnego rozwoju. Innego wyjścia niema, bo go być nie może.

Nie rozbierając bliżej, o ile taka ofiara sił i zdrowia wkracza w dziedzinę heroizmu, i do jakiego stopnia jednostki, które się na nią zdobywają, zasługują na poparcie ze strony możnego a oświeconego ogółu, zajmiemy się tutaj treściwem zobrazowaniem działalności społeczeństwa angielskiego na tej drodze.

W Anglii, podobnie jak wszędzie, zadanie szerzenia wyższej oświaty wśród warstw robotniczych, paraliżował ciągle ten wzgląd, że zawsze stawały na myśli przedewszystkiem owe wielkie massy ludności ciemnej zupełnie, od której w pracy nad oświatą zaczynać należało—innemi słowy: trzeba było przez udostępnienie wszystkim ukształcenia elementarnego rozbudzić pragnienia wyższe w jednostkach uprzywilejowanych. Czytanie, nauka pisania i rachunków, wszczepianie pojęć religijno-moralnych, i jaki taki zarodek znajomości historyi swojego narodu, oto chleb powszedni, którym się z najnędzniejszymi rozłamać należało.

Gdy to dzieło oświaty powszechnej wstąpiło w Anglii w okres prawidłowego i energicznego rozwoju, zrozumiały umysły wyborowe w tym narodzie, że nadszedł czas otwarcia podwoi wyższszego wykształcenia przed wszystkimi, którzy się do niego powołanymi uczują. Historyę tych prac w Anglii streszcza w sobie instytut imienia Birkbecka, który jest w istocie typem uniwersytetu wieczornego, i który rozszerzony i udoskonalony w ostatnich czasach, oddał znakomite usługi robotniczym klasom Londynu. Tej instytucyi zazdroszczą Londynowi wszystkie narody, nie wyłączając Francuzów.

Dr. Birkbeck był lekarzem w Glasgowie. Od młodości dola klas robotniczych zajmowała jego myśli, a widząc źródło złego w ciemnocie tej warstwy społecznej, zadaniu podniesienia jej poziomu umysłowego poświęcił życie. Pierwsze klasy nauczania, które otworzył w Glasgowie zyskały takie powodzenie, że uznał za możliwe przenieść się do Londynu, aby tam rozszerzyć swoją działalność. Miało to miejsce w roku 1824.

Trzeba pamiętać, że położenie klas robotniczych, smutne w tej epoce w całej Europie, szczególnie niekorzystnie przedstawiało się w Anglii. Przy nadzwyczajnie nizkiem wynagrodzeniu za pracę, przy niezmiernych cenach wszelkich potrzeb życia, robotnik nie miał ściśle określonych godzin pozostawania w fabryce. Robił tak długo, jak mu starczało sił, nie mówiąc już o tem, że najelementarniejsze względy hygieny były albo obce pracodawcom jego, albo przez nich rozmyślnie ignorowane. Co do innych warunków bytu robotnika, mianowicie co do stanu jego oświaty, dość będzie powiedzieć, że o jakiemkolwiek popularyzowaniu wiedzy w tych sferach, ośmielały się wówczas marzyć tylko umysły najzuchwalsze, i że wreszcie było to niepodobieństwem zupełnem wobec ceny 7 pensów (22 kopiejki) za jeden numer gazety codziennej, która też pod one czasy stanowiła zbytek dostępny tylko klasom uprzywilejowanym.

Trzeba było w istocie wiary fanatycznej w płodność idei, żeby się rzucić w danym kierunku tam, gdzie dotąd nic nie zrobiono, i gdzie narazie można było mieć za sprzymierzeńców zaledwie kilku ludzi dobrej woli i gotowości do czynu. Do tych ostatnich należeli ze stronnictwa liberalnego Sir Francis Burdett, Lord Dahnman i kilku innych. Ale powoli uznanie dla tej myśli przenikać zaczęło i wyżej. Protektorat nad zawiązkiem nowej instytucyi przyjęty przez księcia Sussex, zjednał jej przychylność wielu członków arystokracyi, i ci użyczyli jej ze swojej strony poparcia i środków, a między nimi lord Brougham pierwszy ofiarował na ten cel 500 funtów szterlingów. Więcej nie potrzeba było, aby posunąć sprawę na drogi pomyślnego rozwoju. Dary posypały się za tym przykładem sowite, i przyznać należy, że sfery rodu i przywileju stanąwszy do współudziału

chlubnie się zapisały na kartach historyi cywilizacyi w Anglii.

Rozumie się, że nie zbywało chwalebnemu dziełu także i na przeszkodach, stawianych mianowicie przez wszelkiego rodzaju psotników, którym wydawało się, że niwecząc taką robotę zasługują się w wysokim stopniu sprawie porządku i dobra państwa. Pewien dziennikarski kondotjer angielskiego wstecznictwa nazwał w tygodniku swoim, noszącym miano „John Bull" projekt dr. Birkbecka wytworem brudnej hipokryzyi. Inny wielki dziennik wsławił się wtedy wygłoszeniem opinii, że i sam „Duch złego" nie mógł był wynaleźć nic zgubniejszego ku zagładzie potęgi Wielkiej Brytanii. Według tego drugiego apostoła ciemnoty, nauka mechaniki mogła posłużyć tylko do zepsucia ręki robotnikowi, a przytem pociągnąć musiała za sobą nieuchronną zagładę tronu i ołtarza.

Nie trzeba się temu dziwić. Wstecznictwo, pod każdą szerokością geograficzną i w każdej epoce jednym i tym samym przemawia językiem. Jeśli w Anglii po Sussexach, Broughamach i Dahnmanach znaleźli się obskuranci, którzy wypowiadali takie antycywilizacyjne bluźnierstwa w roku 1824, to co nadzwyczajnego, że u nas naprzykład po Zamoyskich, Działyńskich, Czackich i Raczyńskich, znalazł się hrabia rektor ubolewający dzisiaj w Krakowie nad zmarnowanemi na oświatę ludu galicyjskiego pieniędzmi, albo że jeszcze gdzieindziej spędza sen z niejednych faryzejskich powiek jakaś ubożuchna czytelnia, z której ośmielają się korzystać ci, którzy z dobrodziejstw oświaty użytkować powinni zawsze tylko na podobieństwo głodnego, przypatrującego się przez grubą szybę wystawionym produktom spożywczym.

Powracając do materyi, powiemy ku pociesze czytelnika, że te wszystkie zapory postępu rozpoczętego dzieła nie wstrzymały bynajmniej, i że zapoczątkowane w stolicy, zaczęło się ono przenosić na prowincyę. Tu jednak poszły rzeczy o wiele mniej pomyślnie niż w Londynie.

Z biegiem czasu okazała się potrzeba koniecznych zmian w programie instytucyi. Reformy tej dokonał pomyślnie sprawujący dotąd honorowo obowiązek profesora Jerzy Morris, co przypada na rok 1866. Zmienił on bardzo wiele w ustawie kursów, którym przedewszystkiem nadał nazwę ich faktycznego założyciela, i odtąd też przybrały one miano „Instytutu Birckbecka." Wpływ zaprowadzonych zmian okazał się ze wszelkich względów pożądanym. Po kilku latach dawny lokal nie mógł pomieścić już słuchaczów, tak, że z inicyatywy lorda Northbrooka—trzeciego z kolei prezydującego tej instytucyi, wzniesiono nowy, odpowiedni do celu gmach, a większość jego kosztów zadeklarował wziąść na siebie prezydujący. W roku 1883 książę Albany położył kamień węgielny pod nową budowlę, a w dwa lata potem nastąpiło uroczyste jej otwarcie przez księcia Walii i jego małżonkę. Po trzydziestoletnim gorliwym zajęciu się tym zakładem naukowym, ustąpił Jerzy Morris ze stanowiska, przekazując je następcy swojemu—dotychczasowemu kierownikowi, którym jest znany ze swoich konferencyi naukowych Armitage Smith, przedtem honorowy sekretarz komitetu oświaty.

Za jego wpływem przypuszczono i kobiety do uczestnictwa w dobrodziejstwie nauki, a wedle sprawozdań składanych corocznie przez zarząd, zetknięcia tych ostatnich z męzką młodzieżą, na szkodę nauce ani obyczajom nie wychodzi wcale. Dyrektor Smith powiada, że uczennice przychodzące tutaj po dniu wypełnionym ciężką pracą w biurach, warsztatach, albo magazynach, świadome są zupełnie celu, do którego dążą, i nim wyłącznie są przejęte. Rozumieją jak należy ważność nauki dla ich życia wewnętrznego, które się tutaj ma zbogacić, i dla bytu, który na wyższem wykształceniu zyska niechybnie. Zresztą ta atmosfera pracy i powagi, którą tu oddychają wszyscy, nie sprzyja lekkomyślności i zapomnieniu.

Nazwę „Uniwersytetu wieczornego" nadał zakładowi sławny Tyndall. Jest bo w istocie zakład ten naukowy możliwie wielostronnym, gdyż poza nauczaniem czysto technicznem, troszczy cię jeszcze o ogólny rozwój słuchaczów swoich, uzupełniając i kompletując braki ich średniego wykształcenia. Ztąd też spotyka się tutaj urzędników handlowych, ludzi trudniących się interesami, a nawet studenci ubiegający się o stopnie i dyplomy uniwersyteckie znajdują pomoce, na których im zbywa.

Uzdolnienia artystyczne mają tu otwartą drogę należytego rozwoju. Corocznie prace wybitnych uczniów wywieszane bywają w Akademii królewskiej sztuk pięknych, a pisma i firmy wydawnicze ztąd przeważnie dobierają swoich illustratorów. Skarży się nawet Francya, że odkąd ta gałęź rozwinęła się tak bujnie przy owym „Uniwersytecie wieczornym," co rok mniej młodych Anglików zdąża do Paryża, aby korzystać ze wskazań mistrzów francuzkich.

Obszernie mówią sprawozdania o laboratoryach chemii i biologii—o ich szczodrem zaopatrzeniu we wszystko, czego wymaga postęp wiedzy, i dlatego studenci medycyny uczęszczają tutaj, bo im względy materyalne nie pozwalają szukać tych ułatwień w obrębie uniwersytetu. Szczególną frekwencyą cieszy się klasa logiki i psychologii; pośród młodzieży obojej płci widzieć można ludzi pięćdziesięcioletnich rozmaitych stanów i powołań.

Renomę zakładów upowszechnia w świecie wielu jego dawnych uczniów, dzisiaj już ludzi zajmujących znaczne stanowiska w świecie. Do takich liczy się naprzykład wydawca pisma „Illustrated-London-News," głośny ekonomista Sidney-Webb i wielu innych.

Dzięki stałemu poparciu, jakiego nie szczędzą tej instytucyi ludzie używający wziętości na rozmaitych stanowiskach społecznych, miasto Londyn wzięło na siebie w roku 1891 spłatę reszty należności obciążającej nieruchomość, która mieści „Uniwersytet wieczorny," a nadto przyznała municypalność stałą roczną subwencyę z funduszów swoich w kwocie 1,200 funtów szterlingów. Od tego też czasu dyrektorowie Instytutu Birckbecka zjednoczyli w całość wszystkie tego samego typu zakłady naukowe. Do tych ostatnich należą: kollegium Londyńskie i Instytut Northampton w Clarkenwell.

Oto macie czytelnicy skalę rozwoju oświaty w społecznościach, których klasy średnie i niższe dają ludzi inicyatywy i wielkiego wytrwania, a sfera przywileju do tego stopnia pojmuje prawdziwy interes państwa, że nietylko nie zasłania światła Bożego przed ciemnym i ubogim, ale dla jego rozrostu nie szczędzi mienia i wpływów.

K.

Wyjątek z poematu.

. . . .

Przeczucie—dziwna smętność serc—niepokój,
Gdy w świat daleki idzie duch-sierota
Młodości!.. stalą kij pielgrzymi okuj,
Na twardy granit błędnych dróg żywota
I ciemne losy sercu wyprorokuj...
Czy się uprzędą ze mgły czy ze złota..
Tęschnota schwyci cię dłonią skrzydlatą
Za białą... w cieniu lip stojącą chatą.

O cicha! w zorzy powietrzu różanem
Nad tobą rosy perlą się i wiszą,
O witająca w progu pełnym dzbanem
Niezamąconych snów nęcąca ciszą!..
Dumna stojącym na dachu bocianem,
Którego skrzydła cicho się kołyszą,
W wieczornej zorzy powietrzu się krwawiąc,
Jakgdyby cichej strzesze błogosławiąc. .

W twoją sień, przez próg glinianyby trzeba
Wchodzić z sumieniem czystem—korną duszą,
A nim twojego pokosztować chleba,
Zapomnieć smaku trucizn, które głuszą
Zdrowy smak... bowiem karm ci spada z nieba
Z rosą i z mgłami, które gdy się ruszą
Pod promieniami słońca chwilą ranną
Odkryją tobie błoń... okrytą manną.

A ty tę mannę z traw zroszonych zbierasz,
Zaopatrując w zasób twoją izbę,
A potem głodnym gościnnie otwierasz
Naścież drzwi—sadzasz na glinianą przyzbę,
Ugaszczasz... i cud uczyni się nieraz
Że garść nakarmi wielką głodnych ciżbę
Kędy drzwi bowiem gościnność otworzy
Tam Bóg garść małą błogosławiąc... mnoży.

Z takiej to chaty i z pod takiej strzechy
Słomianej, wyszedł niegdyś Piast kołodziej,
A nad Popiele wzniesion i nad Lechy
I postawion nad ziemią, która rodzi
Kwiaty i zboża... W promienne uśmiechy
I w dawne cnoty swoją strzechę odziej,
Jak w kwiatów zwoje, które nie uwiędną.

. . . .

Stanisław Ostrowski.

Z prasy Warszawskiej.

„Kuryer Codzienny" z dnia 26 b. m. pod rubryką „z Chwili" porusza żywotną dla warszawskich gospodyń i ich rodzinnego bytu kwestyę moralności służących. Na uwagi „Kuryera" zgodzi się zapewne każda kobieta przywiązująca wagę do ładu, porządku, a przedewszystkiem do należytego wychowania początkowego dzieci, do którego, zła, niemoralna i niesubordynowana sługa jest jedną z ważnych przeszkód. I sposób także, w jaki zdobywają się u nas te sługi—bez gwarancyi, gdy idzie rzecz przez kantor pośrednictwa, a upokarzający i wprost niemożebny, gdy się udać przyjdzie przez biuro kontroli, z wszelaką słusznością wspomina „Kuryer," środki tylko zaradcze, jakie podaje to pismo, wydają nam się zupełnie niedostateczne, i dlatego nie przypuszczamy, aby warto było z tej strony szukać ratunku. Złe tkwi głębiej—to fakt, i chcąc przeciw niemu coś obmyśleć, koniecznie głębiej sięgnąć potrzeba.

Znaczna bardzo część służby kobiecej przedstawia w istocie wiele do życzenia, ale my rozpatrując się ciągle w jej wadach i utyskując na nie, nie dochodzimy bynajmniej do źródła złego, i dlatego tak nam niesporo przedsięwziąść jakąkolwiek reformę, a choćby tylko wskazać, od czego w tej sprawie zacząćby należało, gdyby do niej ktoś na seryo chciał rękę przyłożyć.

Jeśli jednak mówimy ciągle o pracownikach, powiedzmyż słów kilka i o chlebodawcach, bo niepodobna przypuścić, żeby tutaj oni zupełnie bez winy być mogli. Do tych ostatnich nie liczymy już nawet takich win, jakiemi są nadmierne wymagania, gderliwość, i wogóle ręka tak ciężka, która się istocie każdej na stanowisku zależnem koniecznie uprzykrzyć musi. Owszem, pomimo że to są grzechy chlebodawców powszednie, zrzekamy się tej części oskarżenia dlatego, że rezultatem takich warunków bywają w praktyce tylko częste zmiany służby i pogarda obowiązku, ale niekoniecznie deprawacya charakteru i zdziczenie pracownic. Niesprawiedliwość i krzywda dręczą, ale nie poniżają krzywdzonego; wyradzać mogą niechęci i zawziętość, ale nie upadlają bezpośrednio istoty człowieczej do tego stopnia, aby ona stanowiła sama przez się ognisko zarazy moralnej, dla każdego sanującego się domu wstrętne i wprost niemożliwe.

Jeśli mamy mówić o tej ostatniej kategoryi, a o nią nie chodzi nam tutaj właściwie, i jeśli raz postawimy jako przypuszczenie, że bez czynnego współudziału chlebodawców degradacya tego stanu miejsca mieć nie może, to musimy koniecznie zdać sobie sprawę z tego, kto są u nas ci chlebodawcy sami.

Krótko załatwić nam się przyjdzie z domami zamożności wyjątkowej; ograniczymy się co do nich do tej jedynie wzmianki, że i w nich demoralizuje się służba i obniża jej poziom moralny. Dzieje się to przeważnie z winy zaniedbania, złego pojęcia o stosunku człowieka bezwzględnie bogatego do bezwzględnie biednego, i tej wogóle antychrześcijańskiej metody traktowania niższych, która nie dopuszcza myśli nawet, aby stworzeniami ludzkiemi wartemi starań i zachodu byli ci wszyscy, którzy służą, i żeby im się za ich pracę czemkolwiek innem, oprócz szczodrego mniej więcej wynagrodzenia, i pogardliwego obejścia, wypłacać można.

Są to niezaprzeczenie grzechy ciężkie względem społeczności, a o tych, którzy ich się dopuszczają, o tyle rozumie się, o ile z pochodzenia są jej rzeczywistymi członkami, to tylko powiedzieć można, że zapomniawszy wszystkich przykazań ojców swoich, musieli naturalnym biegiem rzeczy poniechać i to, które dotyczyło obowiązków względem podwładnych i podległych. To już jest wreszcie zbyt jawne, i zbyt często nam ten cały stosunek codzienna rzeczywistość przypomina, iżbyśmy go wraz ze wszelkiemi innemi do tej sfery pretensyami w niepamięć puścić nie mieli. Chcą być bierni—postanowili wyłamać się ze wszelkich obowiązków publicznych i społecznych, i tego postanowienia dotrzymują święcie. Bóg z nimi!

O sferze, która ten stan naszego przywileju bardzo gorliwie a często bardzo zabawnie parodyuje na podstawie możności swojej materyalnej — o plutokracyi mianowicie, zamilczymy oczywiście zupełnie, boby też to było bardzo śmiesznem odzywać się w imię uczuć chrześcijańskich do ludzi, których chrześcijaństwo wogóle bardzo świeżej jest daty, albo w imię obywatelskiego obowiązku, o którym dotąd oni nie zasłyszeli jeszcze, bo im na to i szybkość metamorfozy, i brak wszelkiej łączności z tradycyą naszą zupełnie nie dozwoliły. Mają oni co innego do roboty ci ludzie nowi, a sama praca nad wyjściem ze swojej skóry musi być bardzo mozolna, skoro nam rzeczywistość tak mało typów szczęśliwego przekształcenia, choćby zewnętrznego, podaje. Później — może kiedyś... a może nigdy. Zobaczy, kto będzie żył.

Zchodzimy tedy koleją rzeczy do stanu średniej zamożności—do tych wszystkich, którzy mają w domu jedną, dwie lub trzy sługi najwyżej i w tym stanie, a raczej w jego składzie liczebnym rozejrzeć nam się przyjdzie. Tutaj znaczne czekają na nas wykluczenia z pod rachunku, bo inaczej bralibyśmy do obliczeń pozycye fałszywe, i otrzymali oczywiście rezultaty fikcyjne zupełnie. A więc pominąć wypadnie w pierwszym rzędzie wszystko, co nam jest w tem mieście obce pochodzeniem, boć przecie niepodobna żądać od cudzoziemca, aby mu dobro naszych biednych i nieoświeconych na sercu leżeć miało. A tego żywiołu jest wiele, bardzo wiele, i dosyć jest spojrzeć na tabelle statystyczne, aby nam rezultat sam odrazu skoczył do oczu.

Odtrąciliśmy już tedy z pod możliwości przyjęcia udziału w ewentualnem dziele reformy wszystkie warstwy, którym na reformie nie zależy z najrozmaitszych względów, a które pośrednio przyczyniają się do dzisiejszego smutnego stanu moralności naszych służących, rzućmy teraz okiem na te, które obciążyć nam wypadnie wielką częścią odpowiedzialności za to, na co nas tak wiele utyskiwań z różnych stron dochodzi.

Nie trzeba być koniecznie zdecydowanym antysemitą, żeby uznać tę niezbitą prawdę, iż obowiązek służebny w domu żydowskim na naszego prostego człowieka oddziaływa fatalnie. I względy wyznaniowe, i wzrastająca względem narodowości naszej zaczepność żydowska, i wszystko, co stanowi tej rasy charakterystyczne cechy ujemne, i jej wyzysk, i przykłady życiowe, jakie czerpie między żydami służący, a w następstwie nienawiść, nieposzanowanie chlebodawcy, i nawyk do takiego pojmowania stosunku ze strony służby naszej — oto treściwy obraz, jaki nam dają podobne zetknięcia. Postawmy obok tego cyfrę 150 tysięcy żydów zaludniających Warszawę, czyli jedną czwartą ludności całej, a że z tych znaczna część posługuje się w domach naszym człowiekiem, mamy więc jedną z głównych danych do osądzenia położenia rzeczy, a tem samem do znalezienia źródła złego, tak dotkliwego w stosunkach codziennych. Niegdyś było dla naszego człowieka niesławą służyć w domu żydowskim, dzisiaj niema tego względu, a jak mówią inni — tego przesądu. Nie możemy ignorować przyczyny, skoro widzimy skutek. Tak to bywa zawsze, kiedy się gorliwie zbyt zabierze społeczność do wykorzeniania swoich przesądów, ale na to niema tymczasem rady żadnej, poza samem chyba umoralnieniem plemienia żydowskiego. Niechajże i tego spróbują najodważniejsi i najoptymistyczniej w tym względzie nastrojeni—co do nas...

Nie możemy nakoniec pominąć milczeniem kobiet podejrzanej moralności, bo służba u tych jest prawdziwą szkołą upadku moralnego dla każdej z tych nieszczęśliwych, które taki fatalny los wyciągną. Służąca, która ztamtąd wyszła, żadnemu uczciwemu domowi przydać się nie może. Zresztą nad tem nie zatrzymamy się dłużej, bo to złe zbyt widoczne i zbyt krzyczące. Widzimy tedy, co jest przeciwko nam, powiedzmyż co pozostaje dodatniego w stosunkach naszych, i gdzie szukać należy rozsadników dla moralności i uspołecznienia klas służebnych.

Nie znamy ich poza domami prowadzonemi przez kobiety sfery średniej, kobiety nieskłonne do ustępstw w sprawach religii i obyczajów, dobre matki rodziny, a przytem wyrozumiałe dla nieszczęśliwych skazanych na służbę — dbałe o ich dobro moralne i materyalne. W domach takich służba nie zmienia się co kwartał ani co rok, a stosunek oparty na dobrym przykładzie i pobłażliwości z jednej, a nieuniknionym w tych warunkach szacunku z drugiej strony, mógłby w istocie zaważyć i oddziałać, gdyby domy wymienione ostatnio, nie stanowiły niestety bezwzględnej i szczupłej mniejszości. Na taką mnogość wpływów ujemnych, domniemana ilość dodatnich wydaje nam się prawie że nieznaczącą, i dlatego przekonani jesteśmy, iż w danych warunkach nie może u nas być inaczej, tylko tak jak jest.

Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy pracę nad umoralnieniem służących uważali za straconą, a tem samem nie wartą podjęcia. Owszem, wydaje nam się ona o tyle bardziej naglącą, a jak ją pojmujemy w wykonaniu i w szczegółach postaramy się przedstawić w jednym z blizkich numerów „Tygodnika."

Robert Grant.

Klub Kawalerów.

tłómaczyła E. L.

(Ciąg dalszy).

— Lepiejbyś wyznał, co masz na sumieniu—rzekł Ben Davis.

— Nie mam nic do wyznania—odrzekł mu na to Roger.

Ale nie odzyskał humoru, i nagle tracąc panowanie nad sobą, wyjąknął:

— Oświadczyłem się wczoraj i dostałem kosza. Jeżeli jest to powód do dymisyi, dajcie mi ją. Wolałbym, żeby mi kto zrobił tę przysługę, i w łeb mi palnął—dokończył ukrywając twarz w dłonie.

Obecni zamienili między sobą szydercze spojrzenia.

— Czy ustawa przewidziała ten wypadek?—zapytał Ben Davis.

— Nie! żałującemu grzesznikowi przebaczamy i przyjmujemy go z otwartemi ramiony—rzekł Edmunds. — Pociesz się, Rogerze! Uniknąłeś wielkiego niebezpieczeństwa i masz prawo do puli, stary towarzyszu, Nie ponawiaj tylko swej prośby!

— Odrzuciłaby mnie znowu—wybąknął winowajca.

— Nie zdaje mi się.

— Dlaczego tak sądzisz?—zapytał z niepokojem Roger.

— Bo tak się dzieje dziewięć razy na dziesięć.

— Więc sądzisz, że mogę nie tracić nadziei?

— Ileż ona ma lat, przyjacielu? jeżeli wolno zapytać.

— Kończy rok 29 ty.

— Niema więc cienia wątpliwości, że przyjęłaby ponowną prośbę!—zawołali razem Edmunds i Davis.

— A jeżeli ty się jej nie oświadczysz, ona gotowa ci się oświadczyć — dodał Horacy Wilson.

Ale w tej chwili pożałował tych słów szorstkich. Położywszy rękę na ramieniu Rogera, rzekł:

— Zdaje mi się, że nasza spółka trwała już dosyć długo. Sciga ją fatalność, głosuję więc za jej rozwiązaniem.

— Co za myśl! — zawołał Dawis — Jak to rozumiesz?

Edmunds przeciwnie nie dał żadnego znaku zadziwienia, ani protestacyi. Baczny obserwator możeby jednak dostrzegł błysk zadowolenia na jego twarzy.

— Kapitał nasz—rzekł nerwowo — wynosi dziś przeszło 6,000 dolarów, na każdego przypadłoby 1,500.

— Mniejsza o pieniądze — rzekł Horacy.— Sądzę tylko, że walczyliśmy dosyć długo za nasze zasady. Dziś mamy po lat 35, uważam, że każdy z nas może się ożenić, nie tracąc szacunku dla samego siebie.

— Jest w tem nieco racyi — potwierdził Edmunds.

Dawis przenosił z jednego na drugiego wzrok pełen zadziwienia i oburzenia.

— Nie słyszałem jeszcze nic podobnego! — zawołał. — Rozwiązywać naszą spółkę w momencie psychologicznym! Jest to najdziwniejsza propozycya, jaką mi się słyszeć zdarzyło. Widzę po twarzy Rogera, że jest tegoż zdania. Ale wiem, co to znaczy — ciągnął dalej. — Jesteście obadwaj zaręczeni, lub przynajmniej zakochani, i sądziliście, że wam się uda wykierować mnie na dudka. Aleście się przeliczyli. Nasza spółka może być rozwiązana tylko za zgodą wszystkich członków, a ja się na to nie zgadzam. Dalej, Jerzy i Horacy, przyznajcie się, żeście zakochani. Spójrz mi prosto w oczy, Jerzy. Dalibóg, masz minę złoczyńcy, skazanego na galery!

Trudno było zaprzeczyć, że oskarżenie Davis'a zmieszało Edmunds'a; widocznie starał się uniknąć badawczego wzroku towarzysza, następnie zbladł i zaczerwienił się.

— Ja zaręczony!—wyrzekł wreszcie.—Ależ to niedorzeczne. Jeszcze żadnej kobiecie nie robiłem propozycyi małżeństwa.

— W takim razie jesteś zakochany. Zaprzecz jeśli możesz.

— Zaprzeczam ci prawa badania mnie. Zresztą to nieprawda!

— Wiem już co o tem trzymać — rzekł z tryumfem Ben Davis, i odwracając się od Edmunds'a, skierował wzrok na Wilson'a. — A oto drugi czuły gołąbek!

Ale przenikliwemu i szyderczemu spojrzeniu Davis'a odpowiedział wzrok zimny i spokojny.

— Benjaminie!—rzekł Horacy—jeżeli spółka nasza nie zostanie dziś rozwiązana, nie dostaniesz ani grosza z 6,000 dolarów przed oznaczonym terminem lat 20 tu, a i wtedy jeszcze będziesz się musiał podzielić niemi ze mną. Zmowa? Ależ niema na świecie kobiety, dla zobaczenia której drugi raz zadałbym sobie trud przejścia przez ulicę. Co gorsza nawet, chciałbym się zakochać, a nie mogę. Próby w tym względzie nie były uwieńczone skutkiem. Jestem zatwardziały stary kawaler. Nie w moim interesie proponowałem rozwiązanie spółki. Ale gdyś tę propozycyę odrzucił, pilnuj-że się, bo ja wszystko zabiorę.

Kończąc te słowa, Horacy skrzyżował ręce na piersiach, i uśmiechnął się z miną człowieka, który nie boi się ognia, bo wie, że się nie oparzy.

Mówiliśmy, że miało to miejsce na dziesiątym doroczným obiedzie. Przed następnym, to jest jedenastym, Roger oświadczył się znowu, i tym razem został przyjęty. Pierwszego Stycznia trzech tylko biesiadników wzniosło toast na cześć celibatu. Jerzy Edmunds był jeszcze wolny, ale zdawał się żywo zajęty miss Wirginią Tabbets, która także wyróżniała go wśród innych, widocznem więc było, że partya wkrótce będzie się rozgrywać tylko między dwoma członkami. Ben Davis też w przewidywaniu, że prezes, a zarazem kasyer wkrótce ich opuści, ośmielił się uczynić parę uwag co do kapitału, uwag, jakie mu podyktowała przezorność, będąca wybitną cechą jego charakteru.

Edmunds, sprzedawszy świeżo akcye Towarzystwa kopalni nafty za wysoką cenę, kupił za bezcen akcye przedsiębiorstwa aeronautycznego.

— Czy nie sądzisz—zapytał Ben—że byłoby bezpieczniej umieścić to, co posiadamy w papierach państwowych?

Jerzy zaczerwienił się. Nie był on obraźliwy, ale pysznił się swemi zdolnościami finansowemi, i ta uwaga wydała mu się zupełnie niewłaściwą.

— Czy nie jesteście zadowoleni z obrotu kapitału?—zapytał.

— Dokazałeś prawdziwych cudów! Ale przyznaj, że ryzykownie nieraz postępowałeś z kapitałem.

— Czyśmy stracili na tem?—zapytał Jerzy zimno.

— Cóż znowu?—wtrącił Horacy.—Mówiliśmy przecież, że się po tobie spodziewamy czegoś nadzwyczajnego. Papiery państwowe nie przyniosłyby nam tyle.

Było to dobre na pierwsze chwile gdyśmy posiadali niewielki kapitalik. Dziś, gdy mamy 10,000 dolarów, trzeba być ostrożniejszym, bo taka summa nie znajduje się na ulicy. Jeżeli przedsiębiorstwo aeronautyczne zrobi fiasco, gdzie będziemy szukali naszych pieniędzy?

Obaw Davis'a nie podzielali dwaj jego towarzysze, i kapitał nie został wycofany. Zresztą akcye przedsiębiorstwa podniosły się jeszcze w ciągu czterech miesięcy. Na nadzwyczajnem zebraniu członków klubu 1 Maja, prezes jego z pewnem zawstydzeniem oznajmił, że został narzeczonym miss Wirginii Tabbets.

— Zwołałem zebranie nadzwyczajne — mówił dalej—aby jednemu z was oddać w opiekę kapitał, gdy ja członkiem stowarzyszenia być przestaję. Stanowi go 1,000 akcyi Towarzystwa aeronautycznego, na co przedstawiam kwit, przyczem mam zaszczyt wam oznajmić, że możecie je dziś sprzedać za 12,500 dolarów.

Rzucając spojrzenie pełne tryumfu na Ben Davis'a, złożył na stole szacowny dokument i papiery spółki, poczem pożegnał swoich dawnych towarzyszy.

Nazajutrz rano Ben Davis, który objął urząd kasyera po Edmunds'ie, wszedł do kantoru zamiany.

— Prosiłbym o sprzedanie tego na giełdzie—rzekł niedbale, oddając bankierowi wyżej wzmiankowany dokument.

Ale pomimo pozornej obojętności, nie czuł się spokojnym—błąkał się w okolicach biura, dopóki operacya pieniężna nie była ukończona. Akcye zostały sprzedane za 12 500 dolarów, a w kilka dni później spadły już do 5-ciu dolarów za jedną, we dwa tygodnie zaś potem, można je było sprzedać chyba na wagę jako makulaturę. Ale już przed tą katastrofą kapitał klubu kawalerów był umieszczony bezpiecznie, w papierach państwowych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Dary dobroczynne.

Do redakcyi „Kuryera Warszawskiego" zgłosili się w ubiegłym miesiącu sukcesorowie zmarłego w ostatnich tygodniach Józefa Bergsohna dyrektora banku dyskontowego, celem złożenia w myśl zmarłego ofiarodawcy summy rs. 4,000, a mianowicie: na nowy szpital żydowski rs. 1,000 — na warsztaty rzemieślnicze przy ulicy Przebieg rs. 500—do rozporządzenia gminy starozakonnych 500 rs. — na wpisy dla niezamożnych uczniów gimnazyów warszawskich rs. 400—na wydawnictwo książeczek ludowych wedle uznania zarządu kasy imienia Mianowskiego 200 — na czytelnie bezpłatne do dyspozycyi p. Stanisława Leszczyńskiego 200 rs. — na pomoc naukową dla niezamożnych studentów politechniki warszawskiej rs. 200—na kąpiele ludowe do dyspozycyi p. Stanisława Rotwanda 200 rs. — na budowę gmachu Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie rs. 200 — Towarzystwu kolonij letnich rs. 200 — Towarzystwu subiektów handlowych rs. 200 i na budowę gmachu stowarzyszenia subiektów wyznania mojżeszowego rs. 200.

P. J. G. Bloch złożył na ręce ks. kanonika Seroczyńskiego rs. 1,000 dla Ochrony za rogatkami Jerozolimskiemi.

Wyposażenie.

W roku bieżącym przypada do wypłaty fundusz z zapisu senatora Romualda Hubego. Jest to kwota rs. 600 przeznaczona dla ubogiej panny, katoliczki, zupełnej sieroty, mającej nie mniej jak 16 a nie więcej jak 26 lat wieku, urodzonej w Królestwie Polskiem. Pierwszeństwo mają młode kobiety wychowane lub wychowujące się w instytucie św. Kazimierza w Warszawie, pod warunkiem, że kandydatka obdarowana najpóźniej w lat 4 od zawiadomienia jej o przyznaniu posagu (niezawodnie w rocznicę śmierci ś. p. Bogumiły Hubowej) wstąpi w związki małżeńskie z rzemieślnikiem (majstrem lub czeladnikiem) katolikiem, moralnego prowadzenia, urodzonym i stale mieszkającym w Królestwie Polskiem. Osoby pragnące ubiegać się o ten posag, winny najpóźniej do dnia 13 Listopada roku bieżącego wnieść odpowiednie podanie do warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej, i dołączyć: a) metrykę urodzenia własną wraz z aktami śmierci rodziców, b) świadectwo zakładu, w którym kandydatka odbierała wychowanie lub osoby, która ją wychowuje z potwierdzeniem przez policyę własnoręczności podpisu, zaświadczenia ubóstwa i moralnego prowadzenia, c) osoby wychowane w instytucie św. Kazimierza zamiast tych wszystkich dokumentów złożyć winny tylko świadectwo przełożonej zakładu stwierdzającej, że kandydatka pod każdym względem zasługuje na przyznanie jej w mowie będącej kwoty.

Z miasta.

Zapowiadany w piśmie naszem jarmark na owoce rozpoczyna się w dniu 10 Października, i trwać będzie dni dziesięć. Komitet jarmarku, w skład którego weszło trzech delegatów sekcyi rolnej, podaje wiadomość o całym szeregu ułatwień dla dostawiających produkt i nabywców owocu. Instrukcyę dotyczącą pakowania i wysyłki owoców dostarcza komitet bezpłatnie. Dla użytku nabywców większych partyj jeden z kantorów przewozowych zobowiązał się wysyłać dwa razy dziennie platformę. Poczynając od 5 Października komitet przyjmuje nadchodzący towar.

Curiosum.

Czytamy w wielu dziennikach tego rodzaju wiadomość podaną bez żadnego komentarza, jak to jest chwalebnym zwyczajem naszym. Bierzemy ją dosłownie nie z pisma brukowego broń Boże, ale owszem z dużego formatem i t. zw. poważnego organu.

„Grono amatorów *atletów* gimnastyków zebranych w jednej z tutejszych sal gimnastycznych, żegnało dr. W. K. prezesa stowarzyszenia *atletów* i cyklistów w Petersburgu, który w powrocie z zagranicy bawił czas krótki w naszem mieście. Dr. K. znany miłośnik *atletyki* (?) przypatrywał się popisom siły tutejszych *atletów* z wielkiem zajęciem. Punktem kulminacyjnym ogólnego zajęcia było wystąpienie dr. K. jako *atlety*, który dzięki umiejętnemu ćwiczeniu swoich mięśni, pomimo 56 lat wieku, wykazywał takie dowody siły przed młodymi *atletami*, iż trudno było przypuścić, aby człowiek nauki stojący na progu starości, potrafił zatrzymać siły fizyczne do tak późnego wieku. Dr. K. żegnał młodzież *serdeczną przemową*, zachęcał ją do uprawiania ćwiczeń fizycznych, i podał myśl założenia klubu *atletycznego* w Warszawie."

Atleta, atlecie, atletów, atletom, atletyczny, atletyka!!—aż siedem razy powtarza się w tych kilku wierszach brzmienie obce i dla ucha niemiłe, ale mniejsza już o brzmienie samo, kiedy przeciw temu, co ono określa, tyle jest do powiedzenia. Bo jużci jeśli kto, to lekarz chyba wiedzieć musi i powinien, że zapasy, czyli tak zwane u nas między ludem zmagania się, z normalnym rozwojem sił w wieku młodym, i z konserwowaniem ich w latach dojrzałości, nic wspólnego nie mają. Uprawianie rozrostu muskulatury ma swoje obowiązujące granice, poza któremi przekraczający znajdzie jedynie kaprys, dziwactwo i śmieszność nieszczęśliwie bardzo sprowadzone na nasz grunt, dzięki małpiej prawdziwie manii naśladowniczej jednostek próżniaczych.

Człowieka harmonijnie rozwiniętego, a nie cyrkowca pysznego ze swoich węzłów mięśniowych przysposabiajcie światu panowie pedagodzy klubowi; wolę, charaktery i uczucia kształćcie w wyradzającej się mężkości, zamiast trenować człowieka jak bydle, bo i bez tej tresury, i bez wytworzonej przez nią jednej jeszcze odmiany zoologicznej, dosyć i tak wszelakiej nędzy duchowej pozostanie światu. Kto wmawia głupim, że racyonalny rozwój sił ma z atletycznymi zapasami jakąkolwiek wspólność, ten jako lekarz nadużywa powagi swojej, a kto daje do zrozumienia, że walki dzisiejsze i walki przyszłości wyższość muskułów rozstrzygać będzie, ten jest społeczności swojej nieprzyjacielem — ten odwraca tendencyjnie oczy nieuświadomionych od założeń, celów i pragnień istotnych, które i tak coraz mniej liczą współpracowników.

Szczególne doprawdy przeżywamy chwile! Niepojętem jest, aby sześćdziesięcioletni człowiek nauki zetknąwszy się z młodzieżą współczesną, i rzuciwszy na nią obowiązujące w jego profesyi spojrzenie fizyologa i psychologa, tyle tylko znalazł jej do powiedzenia, co ten przejeżdżający doktór, i takie jej od siebie pozostawiał wskazania.

Wskazówki i rady.

Mostek cielęcy nadziewany cynadrami.

Tłusty, biały mostek wyluzować z kości, wyżyłować i posolić. Cynadry (nerki) cielęce obciągnięte z błony, ułożyć wzdłuż na mostku, posolić, popieprzyć i nałożyć gdzieniegdzie kawałkami masła, zwinąć mocno, obsznurować cienkim sznurkiem i upiec w piecu na ruszcie, smarując obficie masłem. Mieć rozgotowany dobry bulion, a gdy mostek jest na dopieczeniu polewać tym bulionem. Zdjąwszy z rusztu wymieszać dobrze bulion ze ściekłym sokiem z cielęciny, pudrując go odrobiną mąki — zagotować, i przecedziwszy przez sito, polać mostek. Ostrym nożem krajany bardzo ładnie wygląda i dobrze smakuje, szczególnie amatorom cielęciny z nerką.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

NADESŁANE.

O modach futer.

Zbliżający się sezon zimowy zachęca mnie nadobne Czytelniczki i łaskawi Czytelnicy, do udzielenia wam wiadomości z zakresu mód futrzanych. Przeglądając oddział futer w magazynie p. **Tytusa Kowalskiego** ulica **Senatorska 10**, znalazłam tyle pięknych rzeczy, że zaledwie pobieżnie o nich wspomnieć będę mogła. Najmodniejsze w tym roku będą: Rotundy z karczkami, a także z odcinanymi wolantami, Paltociki pół długie, wyszywane, z kołnierzami wyższemi, jak również z odcinanymi wolantami i Żakiety krótkie haftowane.

Na wierzchy do tych futer używane są plusze i adamaszki jedwabne, oraz wełny w kolorach czarnym, prune, olive, marron, ciemno-zielonym i innych. Peleryny futrzane z soboli, nurków, karakułów i loutre. Żakiety karakułowe, peleryny z karczkami haftowanymi. Sztole z soboli, nurków i innych futer. Mink i Mascotte Boa, mufeczki i piękne berety futrzane formy Bolero i innych, ozdobione ładnemi piórami.

Z futer męzkich palta się utrzymały, choć chętniej noszone są przy nich kołnierze szalowe. Jako ubranie do polowania powinna być kurtka z tyrolskiego Lodenu (Kaiser Loden) z guzikami skórzanymi, dacha i mufka myśliwska. Czapki męzkie z baranków czarnych i z loutre wysokie lub z renversami najwięcej są noszone.

Trudno mi bardzo opisać wam, nadobne Czytelniczki i łaskawi Czytelnicy wszystkie szczegóły tego wytwornego smaku i starannego wykonania, obok najlepszych form, odsyłam was przeto do Magazynu p. **Tytusa Kowalskiego** ul. **Senatorska Nr. 10 w Warszawie.**

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Сентября 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Oto moje warunki, pod którymi jedynie będę mógł nie złączyć się z resztą wierzycieli. Jeżeli pan hrabia znajdujesz je godziwymi, czekam na przychylną odpowiedź—jeżeli masz inne, dogodniejsze dla siebie środki, cofam moje słowa.

Sokolnik ukrył twarz w dłoniach i głowę na piersi opuścił.

— Wiem, wiem, że niema innego środka; krwawe dla mnie przejście! Wczoraj jeszcze, dziś rano, przed godziną, nie myślałem, aby rzeczy tak daleko zaszły. Pozwól mi nieco ochłonąć z pierwszego wzruszenia—przyzwyczaić się do nieszczęsnej konieczności. Muszę pomówić z żoną; biedna kobieta niespodziewa się co ją czeka! Po obiedzie, wieczorem, tu, w moim gabinecie, dam ci ostateczną odpowiedź. Ułożymy sprawę jak należy. Teraz przejdźmy do salonu; panie nasze oddawna czekają nas ze śniadaniem.

Magnat otrząsł na chwilę z trosk oblicze, usiłował wypogodzić czoło; larwa spokoju niewdzięcznie lgnęła mu do połamanych boleścią rysów.

Sokolnikowa bez trudu odgadła skołatany stan duszy męża; kapelan za pierwszym rzutem oka przeczuł całą sprawę, jedna tylko Marya zagłębiona sama w sobie, nie zważała na powszechne rozprzężenie umysłów.

Młodość, samolubna zwykle, ilekroć marzy zużytecznienie swoich żywiołów, patrzy tylko przed siebie.

Rozmowa kulawo się wlokła, szwankowała na wątku. Każdy w głębi duszy czuł się przepełnionym myślami, nikt atoli nie pragnął na biały dzień ich wystawiać. Pan domu szepnął na uboczu kilka słów księdzu do ucha; kapelan natrącił z niechcenia bankierowi myśl przechadzki po gospodarstwie; Dahlman skwapliwie ją uchwycił i niebawem towarzystwo rozpierzchło się w różne strony.

Gabinet Sokolnika był widownią, na której odgrywały się dalsze sceny dramatu. Tym razem słychać w nim było przytłumioną rozmowę. Czasami głos męża długo wydzwaniając jednę nutę, pryskał nagle cierpkim wykrzyknikiem, tonął w milczeniu podczas, gdy przeciągłe, jęczące łkania wydzierały się z niewieściej piersi.

Sokolnik zawiadamiał żonę o układach z bankierem.

Hrabina słupiała z podziwienia. Biedaczka, żyła dotąd w przekonaniu, że oboje za krótki mieli wzrok, aby kiedykolwiek mogli dopatrzeć dna swoich dostatków.

Dahlman tymczasem ująwszy księdza pod rękę, zahaczył w drodze intendenta Lumpmana, zatrzymał go i kazał oprowadzać się po wiejskich zabudowaniach. Przez drogę wszczął z nim rozmowę, wypytywał nawiasem o rozległość i rodzaj ziemi ornej, o przestrzenie lasów, pastwisk, badał summę dni pańszczyzny, pracowitość ludu, ilość i gatunek bydła, troskliwie śledził najdrobniejsze szczegóły gospodarczych budynków, wchodził na poddasza i stamtąd opatrywał okolicę.

Bankierowi łzy rozrzewnienia kręciły się w oczach; dziękował Boga, że dozwolił mu na starość doczekać się tak trafnych rozumowań i tak świetnego skutku swoich zachodów.

Sprawiedliwość pełniła się na świecie.

Sokolnik, od młodych lat bezwstydnie trwonił, nie wiedzieć dla czego przekazany mu, majątek; głuchy na cudzą niedolę, ślepy na bliźnią nędzę, nieumiejący ani sporządzić bilansu, ani wynaleść najmniejszej spekulacyi, wzniósł ołtarz swoim namiętnościom, ofiarował im złoto, mirrhę i kadzidło; żył cudzym kredytem i sam nieograniczenie kredytował przyszłości.

Los, sumienny rachmistrz, wyzuwał próżniaka z dostatków.

Dahlman, od kolebki prawie upędzał się za groszem, handlował, przemycał, niedomierzał, niedoważał, językiem dodawał towarom wartości, pożyczał na lichwę, bezsenne noce trawił na kramarskich zabiegach, przez sen czasami cyfry bełkotał, zaprzeczył w sobie ciało, żył jak asceta, dopokąd nareszcie po długich przebojach nierozciągnął się na workach złota. Opatrzność wieńczyła w nim skrzętne zabiegi i niezmordowaną pracę.

Los, sumienny rachmistrz, wynagradzał go majątkiem marnotrawnego magnata.

U Sokolnika tedy, chmury nawleczone przybyciem Dahlmana, zwieszały coraz gęstsze całuny.

Bankier po kilku dniach pobytu i rozpatrzeniu szczegółów majątku, zabierał się do wyjazdu. Gospodarz z obliczem boleścią połamanem namawiał go do przenocowania; gospodyni przerażona niepojętą dla niej wszechmocnością gościa łączyła pokorne prośby, gdy w tem zjeżdżająca kolaska, zwróciła na inny kierunek powszechną uwagę.

Poznano Piotra Poraja.

Sokolnik wyszedł ku podróżnemu, zebrał wszystkie siły, uśmiech na twarz naciągnął, ale nadaremnie. Troska tym razem zwyciężyła długi obyczaj; wypogodzone na chwilę czoło wkrótce tem gęstsze poorały zmarszczki; rozchylone uprzejmością usta znowu ścięły się konwulsyjnie.

Sokolnikowej również zbywało na siłach i na ochocie do walki; ukazała się w całej prawdzie swoich udręczeń; z wybladłem licem, z zaczerwienionemi oczyma, z chwiejącą postacią.

Powitania, wstępne rozmowy, pozwoliły dwóm ofiarom Dahlmana nieco odetchnąć. Kilkanaście zewsząd rzuconych ogólników, zamgliło rzeczywistość przed wzrokiem nowoprzyjezdnego.

Niebawem atoli, Piotr zaczął rozeznawać po za tumanami prawdziwe kształty. Uderzył nań chłód zimnego przyjęcia, ubodły przymusem tłoczone grzeczności gospodarza, ponure milczenie gospodyni. Wyobraźnia jego pognała przepaścistym manowcem domysłów.

Wnioskując ze słów, jakie dotąd usłyszał, żadna klęska, żadne nagłe nieszczęście nie spadło na Sokolnika. W domu wszyscy byli zdrowi; o pożarze, o gradobiciu, o powodzi lub o zarazie nikt nie wzmiankował.

Serce zabiegło mu podejrzeniem i strachem, uczuł, że rój niespokojnych myśli pełznie mu na mózg.

Szczęściem, bankier czuwał nad honorem tego domu, który za swój własny poczynał już uważać.

Rozstrój dwóch głównych postaci towarzystwa, zdaniem jego dla wszystkich był zarówno męczącym.

Pieniężnik zawinął rękawy i umyślił sam jeden wydołać obowiązkom gospodarstwa. Rozsiadł się więc w krześle, podniósł głos i dalejże rozpowiadać miejskie wiadomości, potrząsać je uwagami o polityce Europy i Cesarstwa, barwić szczegółami o postaciach znajomych z nazwiska lub z osoby, żądać wyjaśnień od Sokolnika, zapytywać o zdanie Sokolnikowę, zwracać się czasami do kapelana, wywoływać spór przecząc z lekka słowom Poraja, aż nareszcie wpadł na tor handlowych i przemyślniczych żalów, nadziei, zamiarów, ulepszeń, odkryć, rozporządzeń. Na tym dopiero szlaku, Dahlman otworzył upusty wymowie, wysadzał ją cytacyami, roziskrzał massę cyfr, haftował przykładami, wyjętymi z życia pierwszych kapitalistów świata.

Piotr z początku więcej słuchał niż mówił. Zwarzone oblicza państwa domu srodze go niepokoiły. Rozpamiętywał w myśli dawne swoje przeciw Sokolnikowi zarzuty, utwierdzał się w podejrzeniach, lękał czyli przedłużone pierwsze odwiedziny brata nie odkryły magnatowi uczuć jego i zamiarów, czyli Marya ujęta zalotami młodzieńca, w przystępie dziewiczego uniesienia nie zwierzyła się rodzicom z tajemnicy swojego serca. W takim razie—mówił sam do siebie, pyszałek nie bez kozery się chmurzy, żona jego naumyślnie zimno mnie wita; oboje chcą odrazu dać poznać, że za wysokie tu dla nas progi. Piotr żałował niewczesnego przyjazdu, przemyślał już o odwrocie, skoro jednak bankier wdał się w szerokie rozprawy o krajowym handlu i wrzekomo czyli świadomie upuścił kilka gospodarczych herezyj, Poraj poczuł się draśniętym w ostatniej głębinie swoich przekonań, i umyślił niepuścić bezkarnie fałszywych zdań brukowego rolnika. Podniósł więc rękawicę, przy wstępie zaraz pobił na głowę przednie hufce bankierowych dowodów, dalej uderzył w sam środek jego szyków i jednym niemal zamachem pole z nieprzyjaciela oczyścił.

Rozmowa wartko zakrążyła; sam Sokolnik mimowoli dał się jej porwać, utopił w niej troski i raz jako słuchacz, to znowu kolejno jako uczestnik, jednemu lub drugiemu słuszność przysądzał.

Dahlman brał na kieł.

Dumny ożywczą potęgą swojego słowa, bez upamiętania dawał mu folgę. O wyjeździe

już nie myślał; nocleg z podzięką przyjmował. Na towarzystwo wcale nie uważał, pomijał Sokolnika, hrabinę i księdza, głównie zaś zwracał się ku Piotrowi, zahaczał go pytaniami, wyciągał na odpowiedzi. Obejście atoli dziwnie wygłaskał, jak gdyby ścigał nowy jakiś zamiar, przed chwilą w mózgu mu wylęgły. Rzec było można, że pieniężnik polował na łaskę Poraja, tak widocznie nadskakiwał, tak uroczyście zdań jego słuchał, podziwiał obszerne wiadomości, czasami nawet rzucał, niby z niechcenia, grubo ociosane pochlebstwa. Sokolnik, stary gracz wyćwiczony, rozmyślał w kącie nad dwoma tymi ludźmi, z których jeden wybijał pokłony, drugi zaś wcale nie zdawał się ich przyjmować dla siebie.

— Zmalały czasy! powtarzał w myśli dygnitarz — panowie zepsuli mieszczaństwo. Kramarz ten sądzi, iż pierwsze głowy w kraju przerasta dla tego, że wspiął się na worku dukatów. Wymieciono za próg ród i znaczenie. Na miejscu prawego Boga, Żydzi wydobyli starego cielca ze złota, a ludzkość, w proch się przed nim ściele. Szczęśliw, ten tylko, kto ze sromotnej powodzi potrafił ocalić jaki taki klejnot szlachecki i podeprzeć go stosem pieniędzy. Szczęśliw, ten oto naprzykład, przed którym bankier grzbiet teraz ugina — szlachcic, jak gdyby w czepku się urodził, przy uczciwem nazwisku i pełną skrzynią może się poszczycić. Wprawdzie, byłoby mu trudno zawiesić w galeryi szeregu przodków o krzesłach, o infułach, o buławach, ale dziś są ludzie, którzy niewstydzą się otwarcie wymawiać, że jeden dobry włoski lub hiszpański obraz, więcej wart od całej ściany antenatów!... Jakże lichwiarz mój niezgrabnie przed nim się płaszczy!... Poraj, bezwątpienia musi mieć ogrom pieniędzy; mówiono mi już o tem we Lwowie. Przypominam sobie! Sam Dahlman na ostatnim balu, z religijnym szacunkiem wspominał o jego kassie. Szacunek ten, przebija się w każdem spojrzeniu bankiera. Ha, ha! zadusi go jeżeli tak dalej będzie mu kadził. Jak żyję, nie widziałem Dahlmana w podobnych zalotach. Hm!... miałżeby mój Krezus mieć także swoje frasunki? miałżeby skrycie cierpieć nieco na tę samą chorobę, która mnie pędzi do grobu, na chorobę łatwą do wyleczenia jednem słowem bogatego pana Piotra?... Tak jest, bogatego, bardzo bogatego! inaczej bankier wcale by nań nie zważał.

Sokolnik, ostatnie słowa, zwolna w myśl upuścił. Wyraz „bogactwo“ srebrnym dźwiękiem zabrzęczał mu w duszy, i na tle żalu wywołał rojowisko marzeń, kombinacyi, widoków.

Mgliste zarysy ważnych jakichś zamiarów, zaczęły ścinać się mu przed wyobraźnią w jaśniejsze kształty; magnat przesunął rękę po czole i powstał.

— Zwolna, Mości Dahlman,— domawiał w duszy — nie zapominaj, że jest tu nas dwóch, i że w tej chwili nie chodzi nam jeszcze o ułożenie bilansu.

Sokolnik, przed ostatecznem poddaniem się w żydowską niewolę, postanowił stoczyć jedną jeszcze rozpaczną potyczkę.

Z wypogodzonem obliczem, wkroczył w rozmowę i subtelnie wyostrzonemi słowy natarł na bankiera. W gonitwie tej, wygrana nie mogła być długo wątpliwą.

Magnat, niebawem zdobył uwagę Piotra, zajechał bankierowi w poprzek, niweczył kwiaty jego pochlebstw, niepokoił go zręcznem napomykaniem o przykrych koniecznościach handlarskiego życia, Porajowi natomiast, podścielał puchy całej tej uprzejmości, jaką słusznie słynął na okolicę.

Piotr grzecznościom gospodarza nie stawiał żadnego oporu. Tak mu było lubo wziąć rozbrat z wrażeniem, jakiego był doznał na progu, tak rad zapominał o powstępnych niepokojach, że gościnnemu obejściu państwa domu na roścież wdzięczne otworzył serce i pełną piersią chłonął zachwiane na chwilę nadzieje.

Ów pan, ów potomek znakomitej rodziny, dziedzic jej sławy i ogłady, mógł zostać teściem Kazimierza; ta zacna matrona, której wiek zdawał się dodawać słodyczy, przypomniałaby mu cnoty ukochanej matki; to czarowne stworzenie słaniające się w białej odzieży, jak błogosławione zjawisko mogło mu szczęściem wypromienić resztę dni życia.

Piotr nigdy nie sądził, aby na jeden raz mógł objąć w sobie tyle radości. Geniusz nadziei szybko pędził przed nim chwile, a gdy gospodarz odprowadził go do sypialni i pożegnał, pierwszą jego myślą było wspomnienie matki. „Biedna kobieta!—mówił mrużąc powieki — umarła nie doznawszy jedynej matek pociechy. Ach, gdyby szczęście drogich nam istot umiało wskrzeszać, ty pierwsza, Aniele macierzyńskiego przywiązania, powstałabyś z grobu.”

Piotr zasnął z cichą na ustach modlitwą.

W przyległej komnacie, bankier również nie bez wesela zacierał ręce.

Podczas, gdy służący, któremu przykazał o świcie być do wyjazdu gotowym, pakował rzeczy, Dahlman szerokimi przechadzał się kroki, ważył w myśli zysk z dokonanego przedsięwzięcia, zdawał sobie rachunek z trudności i przeszkód, sprawa bowiem niezupełnie jeszcze była wygraną; spółwierzyciele hurmem zebrani mogli odmówić zwłoki lub drogo kazać sobie za nią zapłacić.

Alternatywa ta silnie zachwiałaby jego korzyściami. Bankier, jako nie jeden podobny mu przemyślnik, miał wprawdzie ogromny majątek, ale majątek ten opierał się tyleż na spekulacych i na kredycie, ile na rzeczywistej gotówce.

Doraźne zaspokojenie długów nowo nabytej posiadłości, wymagało wykładu znacznych kapitałów. Na targu lwowskim i wiedeńskim, spółzawodnicy jego w temże samem rzemiośle, nieomieszkaliby korzystać ze sposobności upuszczenia mu jak najwięcej krwi.

Krwią, w handlowem narzeczu, nazywa się gotówka.

Niespodziane spotkanie Poraja, zdawało się mu promieniem światła, przez samą Opatrzność zesłanym. Dahlman wiedział, że Piotr wskutek ostatnich zbożowych powodzeń, rozrządzał znacznemi summami, że ziemi więcej skupować nie chciał, że szerokim kupieckim zamiarom nie łatwo dawał się uwodzić. Należało zręcznie sprawę wystawić, pieniądz ten, co najwięcej, na piąty procent pozyskać i umieścić go na hypotece dóbr nowego posiadacza Sokolnikowych włości.

Bankier nie wątpił o powodzeniu, zwłaszcza, że Poraj przez cały wieczór zaszczycał go szczególną przychylnością.

Tymczasem spieszył do Lwowa, gdzie wygodniej mu było zastawiać pułapkę.

Gdy tak obu gości sen słodko kołysał marzeniami, każdemu z nich właściwemi, w komnacie gospodarza, płonęła świeżo zażegnięta lampa. Bladawe jej światło łamało się w zmarszczkach troski wybiegłych na czoło Sokolnika, i tonęło w czarnej postaci, z założonemi jak do różańca rękami, księdza kapelana.

Dygnitarz pierwszy przerwał milczenie.

— Żona moja — rzekł mocnym głosem— opowiedziała ci ostateczne warunki Dahlmana; cóż ty na nie?

Ksiądz wzruszył ramionami.

— To niedość! Czy sądzisz, że nic więcej nie pozostaje, jak nachylić grzbietu i poddać się konieczności.

— Kogo Bóg kocha, tego dotyka. Rzeczy mogły wziąć gorszy obrót. Dziękujmy Opatrzności, że na tem się skończyło, i z pokorą przyjmijmy święte jej wyroki.

— Ha, ha! wybornie! Za życia mego, jak widzę, układasz pogrzebową mowę. Wy księża, umiecie tylko krakać nad trupem. Zaczekaj! jeszczem nie w trumnie, jeszcze zdrową głowę noszę na karku.

— Niezasłużony zarzut, panie hrabio. Pogrzebową mowę chciałbym powiedzieć—z radością bym powiedział, ale na grobie tych, którzy targają się dziś na naszą spokojność. Wspomniałem o uległości względem Stwórcy dla tego, że w każdym wypadku należy mieć Boga za sobą, należy wówczas zwłaszcza wielbić Jego wolę, kiedy z naszej strony ostatnich sił dobywamy, aby ją odwrócić. Po co niepotrzebnie gniewać potęgi, o których wszechmocności żaden z nas niema dokładnego wyobrażenia? Alboż i bez tego mało mamy nieprzyjaciół na ziemi?

— Rozumiem cię, księże. Znasz na pamięć dworacki kodeks Pana, któremu służysz. Zostawiam ci też wyłączną troskę o wypełnienie w tym względzie wszelkich ceremonii; proszę tylko, abyś raczył zajmować się niemi u siebie, tu zaś, u mnie, w moim gabinecie, zwróć umysł głównie na poziome sprawy. Bankier podał mi swoje warunki, wczoraj jeszcze przyjmowałem je—dziś, stanowczo odrzucam. To dobrze, ale cóż dalej?...

— Pani hrabina niedawno mnie o nich uwiadomiła. Odpowiedziałem, że bankiera z kwitkiem odprawić, ale nie wprzódy, aż gdzieindziej zdobędziemy środki czynnego poparcia odmowy, bez niebezpiecznych dla nas skutków. Odtąd, ani chwili nie byłem sam; nie miałem czasu do namysłu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5. 935-25-7

ST. PRZEZDZIECKI,

Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów ***na Mazowiecką Nr. 5.***

Zmiana Adresu!!
Mazowiecka № 5.

NOWOŚĆ

Gotowe Stemple - Monogramy Metalowe

Niezbędne i praktyczne dla każdego **do znaczenia bielizny domowej,** drukowania na papierze, kopertach, książkach i t. p. Cena tylko **20** kop. Poduszki niewysychające z **niewypierającym się tuszem** do znaczenia bielizny po **25** kop. Polecam także wszelkie stemple dla Kantorów, Banków i Urzędów. 952-10-7

Drukarnia i Fabryka Stempli

I. D. LEWINSOHNA

w Warszawie, Magazyn: Senatorska 30 wprost Kościoła.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-40

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-9

MAGAZYN
Okryć, Sukien i Kostyumów Damskich oraz Wierzchów do futer,
wykonywa takowe podług modeli zagranicznych.—**Żelazna Brama Nr. 2, m. 6.**
ADOLF ZAJDENARBEIT.
960—12—5

„Sudortvorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-14

SZKOŁA HAFTÓW
nagrodzona na 3-ch wystawach,
MARYI FIORENTINI
Nowy-Świat 61,
przyjmuje uczennice na kursa i miesięcznie — przyjmuje obstalunki 964-6-3
Ceny b. przystępne

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—13
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

W Szkole Haliny z Leszczyńskich
TOKARZEWSKIEJ
otwarte kursa **rysunku, malarstwa,** pod kierunkiem artysty malarza **ZYGMUNTA ANDRYCHEWICZA.** Semestr (półrocze) rysunków rs. **15.** Wykwintny pensyonat dla panien dorosłych, oraz dla kształcących się prywatnie. **Hortensya 7.** 970-5-4

!!!WAŻNE DLA DAM!!!
MAGAZYN
Okryć Damskich
S. LEWI,
Niecała 12, 1-e piętro.
Roboty wykonywają się przez krawców mężkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.
CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-15

ZAKŁAD TAPICERSKI
A. TELATYCKIEGO,
Hoża № 20. 816—25—18
przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—12
Wysyłka na prowincyę.

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
883-25-13
W. TRUSZKOWSKI
FABRYKA Krak.-Przed. 17

Wincenty Węgierski
Freta Nr. 13
Długoletni współpracownik firmy
854-26-14 **B. HERSE**
otworzył pracownię
Sukien i Okryć damskich

PIERWSZORZĘDNY MAGAZYN
POŚCIELI
A. DREXLER
Nowo-Senatorska nr. 2
wprost Hotelu Rzymskiego.
959—4—3

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (poczta kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.** Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **od autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. **1** kop. **20.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski Kurs Niższy wyszedł z druku w 14 zeszytach, Kurs Wyższy zaś wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13.) Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności** i **Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 920-11-5

SPECYALNY SKŁAD
Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—20—13
TOWARY NORYMBERSKIE
Antonina Plichta
Ś-to Krzyżka № 8.
CENY NAJNIŻSZE.

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci
CUKRY DESSEROWE.
NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.
i Cukrów Desserowych.
TEODORA KOZIŃSKIEGO
Marszałkowska 123. 931-25-4
Ceny nizkie.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—9
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.



MAGAZYN
obuwia mężkiego, damskiego i dziecinnego
i kaloszy
K. CHMURKOWSKI
ul. Mazowiecka N-r 6 w Warszawie.
942—25-5 PP. Studentom i Pensyonarkom ustępuję 5% rabatu.

REKOMENDACYA SŁUŻBY.
Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Krakowskie-Przedmieście i róg Podwala Nr 91 bez wpisowego**
a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem.
820-12-7 **S. Karasiewicz.**

SZKOŁA KROJU
systemem WORTH'A
M. Bronisławy Tuszowskiej
Wyucza kroju w najkrótszym czasie najdokładniej za rs. **10,** oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres garderoby damskiej i dziecinnej wchodzące. Wykończenie akuratne. Ceny najprzystępniejsze. 983—6—2
Żórawia 23, m. 25, parter.

Egzystująca od roku 1879
FABRYKA NOŻOWNICZA
i. Wyrobów Stalowych
KAROLA KALINOWSKIEGO,
dawniej Przewoskiego.
Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-22

„GABRYELA"
Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,
Pracownia sukien
I NAUKA KROJU
oraz NAUKA STROJÓW.
Chmielna N-r 19, mieszkania 10.
814—25—17

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD
KAZIMIERY
ulica Świętokrzyska Nr 32,
828—26—16 w Warszawie.
CENY PRZYSTĘPNE.

„CARMEN"
Nowa Pomadka VOGTA nadająca w Mgnieniu Oka nieporównany połysk wszelkim metalom, nadeszła do Składu **ADAMA KEMPIŃSKIEGO,** Ś-to Krzyżka 39 róg Marszałkowskiej. Cena Kartonu zawierającego **36** pudełek 5-cio kop. **Rb. 1.26 k.** Dostać można wszędzie. 948-15-4



FABRYKA GORSETÓW 861-12-7
WILHELMA STEINER
Ś-to Krzyżka 34 róg Jasnej
Najlepsze materyały, najświeższe fasony, ceny przystępne. Na prowincyę wysyłamy za zaliczeniem pocztowem.

Okulary. Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe sprężynowe, gumowe,** lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-10
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 1.

ZAKŁAD OGRODNICZY
Zygmunta Pełczyńskiego
w Warszawie, ul. Senatorska № 12.
były pałac Blanka
Ogród ulica Szczęśliwa № 6.
Przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres ogrodnictwa wchodzące, a mianowicie: **Kosze, Bukiety, Wieńce, Żardynierki, Gierlandy, Dekoracye w domach i kościołach,** i t. p. 915-12-7
Ceny przystępne.

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI
dawniej
M. SZYMAŃSKI
Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-4

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
MARYI MACIEJOWSKIEJ
System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie ***Patenty cechowe.*** Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.
NOWY-SWIAT 56, m. 5. 934—12-5

FABRYKA KAPELUSZY
ROMANA DĄBROWSKIEGO
Magazyn Główny 5 Żabia 5.
Poleca największy wybór **kapeluszy ubranych** Damskich i Dziecinnych oraz fasonów. **Czapeczki futrzane Mufki i kołnierze** 980-3-3

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-9
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.